



MICHAŁ WÓJCIK

ONA

CZAS STAĆ SIĘ LEGENDĄ

SŁUGA PIASKU
TOM II

[Kup książkę](#)

Cykl Sługa Piasku
Ona – Tom II

Copyright © by Michał Wójcik, Wrocław 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja: Julia Diduch-Stachura

Korekta: RKS Janusz Muzyczyszyn
<https://www.muzyczyszyn.pl>

Projekt okładki: Łukasz Białek

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2022

Sprzedaż internetowa:
michalwojcikautor.pl
Oprawa miękka: ISBN 978-83-962964-1-2

SPIS TREŚCI

WSTĘP	9
KOLEJNA ZMIANA	11
SENATOR	49
GWIAZDA	83
UPIÓR	117
JUŻ CZAS	157
KONTRATAK	191
JESTEM ANNE BONNY	221
KSIĘGA	251
PLANETA AMUKO	281
JAK ŚLIWKA W KOMPOT	313
EPILOG	343

*Książkę dedykuję
mojemu bratu, Rafałowi.
Dziękuję Ci za wszystko,
a w szczególności za to, że jesteś!*



WSTĘP

Zabrali mi wszystko, co było bliskie memu sercu. Straciłam siostrę i przyjaciela, z którym spędzałam każdy dzień. Pozbawili mnie ojca, skazując go na śmierć za rzekome zbrodnie przeciwko społeczności. Zabrali dach nad głową i wszelkie źródła utrzymania. Kazali mi żyć na ulicy jak szczur, a nawet gorzej. Pluli, kopali, wyzywali, a ja przecież nie rozumiałam, co się dzieje. O co im tak naprawdę chodzi? Do tego miejsca, gdzie dziś jestem, do osoby, jaką się stałam, doprowadzili mnie ci wszyscy, których zostawiłam za sobą. Teraz stoję przed wami jako wasza dowódczyni. Jednak przede wszystkim jako przyjaciółka, której zależy na waszym dobru. Jednakże czym byłby dobry kapitan bez posłuszeństwa swojej załogi? Tak, moi drodzy kamraci, proszę was jedynie o dogłonne posłuszeństwo, a zobaczycie, jak cała galaktyka będzie przed wami drżała ze strachu!



KOLEJNA ZMIANA

Sektor BTY-12, w drodze między wewnętrznymi systemami a bliżej nieokreśloną placówką docelową. Ogromny frachtowiec o jakże mylnej nazwie Mała Eliza wykonuje gwałtowny zwrot przez prawą burtę. Mimo swych gabarytów porusza się dość żwawo i z pełną gracją. Po chwili jest już ustawiony na pozycji wyznaczonej przez dowódcę. Wszystkie zebrane na mostku osoby przyłgnęły do szerokokątnego ekranu bardzo dokładnego radaru dalekiego zasięgu i nerwowo przeczesywały otaczającą ich zewsząd przestrzeń kosmosu. Co chwilę pomieszczenie wypełniał odgłos komunikatów pojawiających się na panelu kapitańskim. Wśród nich wyróżniały się dwa, które przyprowadziły kapitana o nerwowe drżenie dłoni – duże, czerwone napisy „zagrożenie” i „kontakt”. Sekundy przeciągały się w minuty, a atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. W końcu jeden z podwładnych zakomunikował:

– Ruch na godzinie trzeciej!

Wszyscy momentalnie skierowali oczy w to miejsce, nerwowe poszukiwania nic jednak nie przynosiły. Nie widzieli niczego prócz próżni kosmosu. Gdy kapitan powoli zaczął tłumaczyć sobie w głowie: „to kolejny błąd głównego komputera”, podwładny z drugiej strony mostka, który jako jedyny pozostał przy obserwacji tej

strony okrętu, zameldował ruch bliżej nieokreślonego obiektu. Kapitan, starszy mężczyzna z widoczną łysiną i rzadką, siwiejącą brodą, przeczesywał wzrokiem teren za grubą szybą. Czuł się dobrze przygotowany, wiedział, że tylko szalencie rzuciłby się na tak dużą zwierzynę. W dodatku korporacja przed podróżą zmodyfikowała Małą Elizę, by mogła się ona przeciwstawić potencjalnym oprawcom. Nawet jeśli jakiś pozał się Boże pirat będzie chciał ją pozbawić ładunku, a co za tym idzie dumy, będzie musiał mocno połamać sobie na niej zęby.

Nagle jego oczom ukazał się złowrogi kształt okrętu kosmicznego. Był dużo mniejszy od jednostki przez niego dowodzonej, lecz skonstruowano go w zupełnie innym celu. Kapitan szukał na jego burcie charakterystycznych znaków lub malowań. Gdy w końcu je odnalazł, za jego plecami rozległ się krzyk:

- Kontakt na dziewiątej!
- Rozpoznanie? – To było coś nowego i raczej niespotykanego w przestrzeni kosmicznej. Zawsze piraci działali w pojedynkę, a tym razem...
- Fregata, mocna modyfikacja.
- Bandera? – Spodziewał się, kto to.
- Jeszcze nie włączyli.
- Obserwuj, strzelcy na stanowiska, załadować wszystkie działa!

W głębi duszy cały czas miał nadzieję, że to jacyś wędrowcy lub karawana kupców. Liczył na pomyślne zakończenie tego dnia i misji transportowej. Nie mógł się bardziej mylić. Dostrzeżono, że na jednej z fregat zapala się mały punkcik. Wiadomo, co on oznaczał. Dla potwierdzenia załogant zameldował o zbliżającym się do nich samotnym pocisku. Nie dotarł do ich okrętu, bo nie miał na celu jego uszkodzenia. Roztrzaskał się na włączonych tarczach ochronnych, którymi opleciony został cały frachtowiec.

Piękny niebieskoczerwony kolor zwiastował detonację pocisku w bezpiecznej odległości od nich. Po chwili zostały ujawnione bandery obydwóch fregat. To pirackie okręty. Widać połączyli siły, by napaść na tak dużą jednostkę jak oni. Kapitan opadł ciężko na skórzany fotel, zmuszając swój umysł do jeszcze bardziej intensywnego wysiłku. Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie na wyrwanie się z tej beznadziejnej sytuacji. Gdy rozpoczął rejs, był w świetnym nastroju. Jego kariera układała się modelowo. Bez problemu skończona akademia i ani jednej poprawki na egzaminach, odbyte praktyki z wyróżnieniem. Pierwsze stanowisko drugiego kapitana na małej korce kursującej między dwiema planetami tego samego układu – czymś w stylu kosmicznego autobusu. Później szybkie awanse w holdingu przewozowym, gdzie był dowódcą dużych fregat transportowych. Przyjęcie propozycji pracy dla Hany miało być zwieńczeniem wszystkich jego dokonań. Dzięki niej miał ustawić się finansowo na emeryturze. Ponadto tylko ta największa korporacja w wewnętrznych systemach dysponowała wielkimi, pięknymi frachtowcami, w których mężczyzna kochał się od dzieciństwa. Wiedział, że czekają go bardzo długie loty, i zdawał sobie sprawę, że będzie narażony na liczne ataki i różne przeciwności losu.

Jednak przez dwa lata udawało mu się unikać większych kłopotów. Aż do dziś, aż do chwili, gdy czuje się osaczony przez dwie załogi piratów. Mógł się porównać do zwierzyny zapędzonej w kozi róg. A oddech drapieżnika czyhającego na jego głowę i ładunek płały mu myśli w jakże ważnej chwili próby. Zadawał sobie pytania, co w takiej sytuacji powinien zrobić i co dla niego tak naprawdę będzie ważniejsze.

Rozejrzał się po mostku dowodzenia. Zdał sobie sprawę, że jest odpowiedzialny za wszystkie istnienia na tym okręcie. Na każdego po powrocie czeka ktoś z rodziny. Tak samo jak na niego, choć jego małżeństwo raczej widnieje już tylko na papierze. Nie mógł

się napawać widokiem tych wszystkich świecących ekranów. Każdy przekazywał inne istotne informacje. On sam chciałby być teraz takim komputerem, który wskaże wszystkim gotowe rozwiązanie.

Na jego osobistym monitorze zapaliła się niebieska ikonka. Marynarz poinformował go, że jeden ze statków chce się z nimi połączyć. Przez moment zastanawiał się, czy powinien odebrać i czy to na miejscu rozmawiać ze zbrodniarzami. Miał nadzieję, że wszystko się ułoży po ich myśli i wszyscy wrócą szczęśliwie do domu.

– Z tej strony kapitan Małej Elizy, Gregory Cesnescu – wypowiedział dumnie.

– Witam, rozsądny kapitanie. – Na ekranie pojawiła się dziwna kobieta. Wydatne czerwone usta, niebieska skóra z czarnymi krostkami, złote oczy i wysoki, rudy irokez. – Pewnie wiesz, kim jestem?

– Jedynie mogę się domyślać. O co chodzi?

– Chcemy to załatwić bez rozlewu naszej i waszej krwi. Więc grzecznie się poddaj, pozwól wejść na swój okręt, wziąć tyle towaru, ile zdołamy unieść, i sobie odlecimy. Oczywiście gwarantujemy, że nie będziecie niepokojeni przez inne załogi operujące na waszej trasie. Z resztą towaru, cali i w zdrowiu udacie się do swojego celu.

– A co, jeśli odmówię?

– Jesteś rozsądnym kapitanem i tego nie zrobisz. – Szkaradnie się uśmiechnęła białymi jak śnieg zębami.

Kapitan już podjął decyzję. Swojej rozmówczyni oczywiście nic nie zdradził. Wyłączył transmisję, a na ekranie znów pojawił się czerwony napis. Ponownie oparł się w fotelu i ściągnął kapitańską czapkę. Delikatnie drapiąc się w brodę, rozejrzał się po twarzach poddanych. Żadni z nich żołnierze czy marynarze, zwykli łachmaniarze, którzy zaciągnęli się w poszukiwaniu lepszego życia.

– Wszystkie działa, ognia!

Okrętem mocno zatrzęsło z prawej strony, po chwili z lewej. Wszystkie pociski rozbiły się o tarcze ochronne pirackich

jednostek lub minęły cel. Przeciwnicy mieli mniejsze statki, ewidentnie zwinniejsze. Przewagą Małej Elizy była natomiast siła i masa. W głowie mężczyzny pojawił się plan taranowania wrogów, ale było to rozwiązanie, po które sięgnie w ostateczności. Przede wszystkim musiał zadbać, by Mała Eliza dotarła do portu o własnych siłach. Rozkazał nawigatorowi odnaleźć najbliższą sojuszniczą przystań i w tym kierunku poprowadzić okręt. Kapitan wydał polecenie prowadzenia ciągłego ognia bez rozkazu – strzelać tak, by trafić i zabić. Z początku piraci nie odpowiadali ogniem. Dowódca po chwili zdał sobie sprawę, dlaczego tak właśnie postępowali.

– Jeśli złapią nas wiązką ściąającą, macie ich taranować! Nie mają prawa dokonać abordażu!

O to im właśnie chodziło, nie byli głupi. Jeśli za mocno uszkodzą okręt, towar ukryty w jego ładowniach będzie trudniejszy do przejścia, a tylko na tym im zależy. Kapitan nakazał włączyć pełną moc w lewych silnikach, by wykonać gwałtowny skręt w prawo i następnie odpalić resztę silników i starać się uciec. Jeśli chcieli mieć szansę na przetrwanie, zwierzyna musi się odgryzać. Mocno, tak by piratów zabolalo i zniechęciło do pościgu. Po kilku minutach kosmicznych szachów taktyka napastników się zmieniła. Z początku starali się ściągnąć okręt wiązką, tak by podłączyć się do ich śluzu. W końcu otworzyli ogień ze wszystkich dział, wkładając w atak całą dostępną moc. Mała Eliza zatrzęsa się w posadach, metal zazgrzytał, jakby chciał wydać swe ostatnie tchnienie. Niektóre monitory pękły, ogromna ilość szkła i iskier poleciała na podłogę. Ktoś się przewrócił, ktoś krzyczał, że jest ranny. Znow wstrząs, tak samo mocny jak poprzedni albo mocniejszy.

– Raport?! – krzyknął kapitan.

– Osłony pięćdziesiąt sześć procent, działa dwa, pięć i osiem uszkodzone. Wyciek reaktora w maszynowni numer jeden. Rośnie temperatura rdzenia.

– Zwiększyć moc w lewym silniku, uciekamy w prawo! Całe osłony na rufę! Musimy uciec.

Tylko to teraz miał w głowie. A rosnące z każdą chwilą przerazenie zaburzało mu trzeźwość myślenia. „Takie szkody jedynie po dwóch salwach ich okrętów” – powtarzał sobie w duchu. Chcieli nadać sygnał, informację, że zostali zaatakowani, wtedy mieliby większe szanse na ratunek. Jednak piraci nie byli głupi, od razu zakłócili ich łączność. I znowu salwa, większość pocisków odbiła się od tarcz rufowych. Niestety niektóre przeszły bokiem, trafiając w śródkręcie. Kapitan widział, jak poszycie jego statku zostaje rozerwane i tylko dzięki grodziom bezpieczeństwa jeszcze nie zostali unicestwieni. Kolejne drobne elementy powędrowały bezwładnie w bezkresną czerń kosmosu. Zaczynał się zastanawiać, czy to wszystko było tego warte? Ktoś zameldował o odcięciu przez wrogów łączności, mimo że już o tym wiedział. W szeregi załogi zaczynała się wkradać panika. Jakaś inna osoba meldowała o licznych pożarach w dalszych sekcjach. Do głowy kapitana przestały docierać dalsze informacje. Jego także sparaliżował strach.

Znajdowali się w kropce. Armaty, które były ich największym atutem, po kolei cichły. Zaczynało brakować zasilania. Pirackie wiązki laserowe wciąż trafiały w kadłub. Okręt okropnie się trząsł, wszystko co znajdowało się na biurkach, wylądowało na podłodze. Kapitan nie był w stanie usiąść we własnym fotelu. Następny mocny wstrząs, w uszach mu huczało, niektóre ekrany prysnęły iskrami.

– Trafili nas wiązką! Zaczynają dokowanie! Jakie rozkazy, panie kapitanie?!

– Przygotować się do odparcia abordażu. Uruchomić drogidy strażnicze.

Powiedział to całkowicie zrezygnowany. Znał już wynik tego starcia.

Powtórny wstrząs zrzucił jej narzędzia na głowę. Jedyne plus całej tej sytuacji był taki, że mogła bez obaw przed reprimendą ze strony przełożonego kłać jak szewc. Kolejne węże doprowadzające olej hydrauliczny wypinały się i rozpryskiwały dookoła lepki płyn. „Nie dość, że z guzem, to jeszcze cała brudna! Niech to szlag!” – pomyślała.

Była co prawda jednym z kilku mechaników na okręcie, ale w tej sytuacji nie wiedziała, w co ma ręce włożyć. Główny komputer co chwila sygnalizował następne wycieki lub spadki napięcia. Co rusz coś doznawało awarii lub zawieszało się oprogramowanie. Ten dzień to istny koszmar odpowiedzialnych za serce okrętu. Jedną rzecz naprawiła, okazywało się, że następne trzy są do zrobienia. W końcu załatała ten głupi wąż hydrauliczny – możliwe, że już na zawsze. Poderwała się na rękach, gdyż siedziała w wąskiej studzience pełnej różnego okablowania, które krępowało jej swobodne ruchy. Wyjęła z kieszeni szmatkę, otarła lekko piegowaną twarz i podbiegła odebrać następny raport. Widząc ich liczbę, przecierała oczy ze zdumienia. Nie było szans, by w pojedynkę to wszystko ogarnąć. Zaczęła robić selekcję najważniejszych rzeczy do zrobienia. Zrobiło się tego trochę mniej, lecz w dalszym ciągu sporo. Pociągnęła paski w dżinsowych rybaczkach i pobiegła dalej. Doskoczyła do iskrzącego panelu i krzyknęła z bólu, lekko przypiekając sobie skórę u palca dłoni.

Po kolejnym wstrząsie poleciała na plecy, po czym szybko usiadła na piętach. Poprawiła przysłaniającą włosy czerwoną chustę. Bijąc rękoma i krzycząc na całe gardło, wyrzucała z siebie całą złość. Wtedy do pomieszczenia, w którym się znajdowała, wbiegł niewysoki osobnik. Był bardzo podobny do przerośniętego chomika. Krótkie futerko, krótkie rączki i nóżki, małe czarne oczka

i różowy nos. Z wyglądu całkowicie tu nie pasował. Był natomiast zatrudniony jako jeden z mechaników i nosił identyczne spodnie rybaczki jak dziewczyna. Wymachując łapkami i tupiąc nóżkami w podłogę, wyglądał co najmniej komicznie. Wpływała na to także jego tusza – ten niewielki osobnik z pewnością nie odmawiał sobie jedzenia.

– Niuniek, uspokój się – poprosiła łagodnie. Gdy jednak to nie przyniosło efektu, zmieniła ton w okamgnieniu: – Noż zamknij gębę, tłusty gryzoniu!

Niewielkich rozmiarów istota od razu się zatrzymała i popatrzyła na nią spłoszonym wzrokiem.

Dopiero wtedy mogła spokojnie wszystkiego się dowiedzieć. Zostali zaatakowani przez prawdziwych piratów i byli w trakcie odparcia abordażu. Rozkazy były wtedy proste – każdy musiał się udać do zbrojowni po broń i stanąć w szranki z przeciwnikiem. Tylko był jeden mały problem. Ona nigdy nie trzymała broni w ręku. Mimo początkowych obiekcji chomik zaprowadził ją po odbiór pierwszego w życiu blastera. Broń wydawał droid. Blaszak wyglądał na bardzo spowolnionego. Przy każdym ruchu wydawał dźwięki dawno nieoliwionych stawów. W założeniu droid miał skrócić czas wydawania broni. W rzeczywistości trwało to tak długo, że dotarcie na pole bitwy o czasie graniczyło z cudem. W kolejce przed nią znajdowało się niewielu członków załogi, a mimo to czas oczekiwania przedłużał się w nieskończoność. Kiedy w końcu nastała jej kolej, blaszak zmierzył brudną panią mechanik od stóp do głów. Cicho zabrzęczał i rzucił na stół pordzewiały przedmiot, który miał być na wyrost był nazwany bronią. Model wycofano z użytku wiele lat temu. Mimo że dziewczyna była biegła w swoim fachu i nieraz w swym życiu zetknęła z różnymi rodzajami broni nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała taką skamielinę. Jednoręczny, stary jak świat blaster był za ciężki, by mogła go swobodnie utrzymać. Musiała się wspomagać

drugą dłonią, by go w ogóle unieść. Chomik dostał miniaturowy scyzoryk i został wyproszony z kolejki. Jego reakcja na otrzymaną rzecz była oczywista: „Co ja mam tym zrobić?!”. Według rozkazów, które dotarły do nich z opóźnieniem, mieli udać się do najbliższej służby, by tam stawić opór najeźdźcom. Komunikat był z jednej strony prosty, z drugiej – lakoniczny. Odeprzeć atak wszystkimi możliwymi siłami. Dodając sobie otuchy, mechanicy ruszyli na spotkanie z piratami.

Ledwo opuścili zbrojownię a już byli pewni, że cały plan można włożyć między pośladki. Mimo że po drodze mijali sterty trupów ich załogi, nie przeszło im przez myśl, by się zatrzymać. Strach, który był w tej chwili najlepszym przyjacielem i wrogiem, pchał ich wciąż przed siebie. Dziewczyna bardzo się starała, by jej wzrok był cały czas wbity w gryzonia idącego przed nią. Jednak nie uchroniło jej to przed dostrzeżeniem poległych w bitwie. Niektóre mijane ciała były zwęglone tak, że nie dało się ich rozpoznać. Inne natomiast wyglądały, jakby spały lub zastygły w chwilowym grymasie bólu. „Czyżbyśmy się spóźnili?” – pomyślała. Na szarych korytarzach wijących się między kolejnymi sektorami okrętu nie spotkali żywej duszy. Śluza, pod którą mieli się stawić, była wyłamana. Jakby granat rozerwał ją na strzępy. Została więc sforsowana już jakiś czas temu. Dookoła widać było ślady walki, bardzo jednostronnej ze wskazaniem na piratów.

Skręcili w kolejny wąski korytarz prowadzący w stronę mostku. Poruszając się po metalowej platformie, dziewczyna czuła, jak adrenalina pulsuje jej w skroniach. Nie mogła zebrać myśli, ani w pełni się skupić. Aby przetrwać, musiała doprowadzić koncentrację do granic swych możliwości. Nie uszli daleko, gdy spotkali mały, liczący trzy osoby patrol wrogów. Nie mieli żadnej taktyki, tak samo jak przeszkolenia z broni, której mieli używać. Niuniek, jako agresywnie usposobiona istota, wyskoczył na przeciwników, drąc mały pyszczek, ile tylko miał sił w płucach.

Dziewczyna podążyła jego przykładem i wyskoczyła za nim zza rogu. Krzycząc i przeklinając, chciała oddać strzał w kierunku wrogów. Jednak jej broń milczała. Przeciwnicy byli w takim samym szoku, co ich niedoszli oprawcy. Chomik, niewiele myśląc, postanowił wykorzystać trwający efekt zaskoczenia i ruszył frontalnie na przeciwników, wrzeszcząc słowa w jemu tylko znanym języku. Wymachując bronią w małych różowych dłoniach, wyparował od jednego strzału blastera pirata.

W dziewczynie, na widok niewielkiej czarnej plamy – wszystkim, co zostało po jej przyjacielu – wezbrała złość. Jak można w tak okrutny sposób potraktować tak małą istotę? Skoczyła w stronę wrogów, by zginać honorową śmiercią i wtedy drugi pirat trafił ją okrągłym, jasnym pociskiem z niezwykle dziwnej broni. Dziewczyna poleciała do tyłu, wypuściła z dłoni bezużyteczny sprzęt i nim straciła przytomność, usłyszała, jak metal uderza o metal. Miała wrażenie, że ów dźwięk słyszała jakby przez mgłę i trwał on niebywale długo. Wszystko, co działo się wokół niej, cały czas do niej docierało, choć może z lekkim opóźnieniem. Przynajmniej miała jednak pewność, że jeszcze nie pozbawili jej życia, choć oczy w dalszym ciągu miała zamknięte, a bezwładne i zwiotczałe ciało nie reagowało w żaden sposób na jej wolę. Piraci poderwali ją do góry i wlekli gdzieś za sobą. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, gdyż nie знаła całego rozkładu okrętu. Nigdy nie zapuszczała się poza pewną strefę ograniczoną kartą dostępu. Bo, prawdę mówiąc, co jako mechanik miałaby robić w kajutach oficerskich czy na mostku dowodzenia? W pewnym momencie straciła oparcie i runęła na zimną podłogę. W tej chwili chłód dawał jej pewną ulgę. Dziewczyna chciała sobie wmówić, że dzięki temu zamrozi uczucia i nie będzie już wspominać swego chomiczego kolegi.

Świadomość przywrócono jej przy pomocy dziwnego specyfiku podstawionego pod nos. Obraz przed oczami miała rozmazany, lecz po odgłosach wiedziała, że nie jest sama. Po raz pierwszy

poczuła nadzieję na przetrwanie. Jakaś postać przechadzała się tam i z powrotem. W końcu osoba ta usiadła w szerokim fotelu i założyła nogę na nogę. Dziewczynie z początku umknął dość ważny szczegół. Jednak gdy wzrok jej powoli wrócił, dostrzegła, że przed fotelem leży ciało... jej kapitana – pozbawione życia, blade i z dziurą po kuli na środku czoła.

Osobą siedzącą w kapitańskim fotelu okazała się kobieta. Trzymała nogi złożone na zwłokach pokonanego przeciwnika i pogardliwie przyglądała się pochwyconym jeńcom. Jej uroda była... specyficzna. Paleta barw jaka biła z jej twarzy, odznaczała się na jednolicie ciemnozielonym stroju. Inna kobieta przyniosła kieliszek czerwonego trunku. Niska, chuda z widoczną łysiną i krzywym, niepełnym uzębieniem, różniła się wyglądem od tej, która była zapewne jej dowódczynią. Teraz mechanik mogła się rozejrzeć – w rzędzie klęczeli jeńcy, członkowie załogi Małej Elizy.

Niektórych znała z imienia i nazwiska, innych nigdy wcześniej nie widziała. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu Eliza mała była tylko z nazwy. W rzeczywistości to ogromna jednostka, na której służyło bardzo dużo wszelakiej maści istot. Kobieta siedząca w fotelu przyjrzała się wszystkim, upiła łyk i rzekła:

– Zabić mężczyzn. – Głos był cierpki i nieprzyjemny.

Jej słowo było rozkazem, który musiał być wykonany. Za każdym z załogi okrętu Hanzy stała postać w lekkim pancerzu bojowym. Każdy był unikatowy, co stanowiło zapewne oryginalny styl tej załogi. W innych flotach – czy to Republiki, Federacji czy innego armatora – członkowie byli zobowiązani do noszenia jednolitego uniformu, określającego stopień i przydział. Tutaj natomiast każdy miał swego rodzaju niezależność.

Trwało to raptem moment, nim ciała wszystkich mężczyzn leżały twarzą do podłogi okrętu. Po chwili barwiły ją kałuże czerwonej cieczy.

Była już pewna, że również zginie. Myśli zaczynały krążyć wokół bliskich. Zaczynała się żegnać.

– Macie szansę dołączyć do mojej załogi – przemówiła barwna postać w fotelu. – Ilość miejsc ograniczona.

Nie czekała na reakcję innych, musiała żyć. Miała swoje plany, a także cel do zrealizowania. Od kiedy opuściła swą prawie że rodzinną planetę, każdy jej następny krok miał ją do niej przybliżyć. Wstała i na tyle, na ile pozwalała jej odwaga, zgłosiła się na ochotniczkę. Chciała skorzystać z możliwości danej jej przez los. Spojrzenia pełne nienawiści, jakie utkwiły w niej dotychczasowe towarzyszek, dziurawiły ją jak sito. Mimo to wytrzymała i starała się dumnie wyglądać w oczach swojej prawdopodobnie nowej pani kapitan. Dziwna kobieta przyjrzała się jej od stóp do głowy.

– Trochę cherlawa z ciebie dziewczucha – stwierdziła z krzywym uśmiechem.

– Tylko tak wyglądam. Na zdrowie nie narzekam, a mechanik ze mnie całkiem dobry.

– Mechanik mówisz? – Pogłaskała się po policzku. – W takim razie witam w załodze. Ej, ty! – Wskazała palcem młodego chłopaka. – Zaprowadź naszą nową koleżankę na okręt a ciebie – zwróciła się z powrotem do dziewczyny – witam w załodze Williama II.

W ten oto sposób została zwerbowana na statek piracki pod dowództwem legendarnej Anne Bonny.

* * *

Co miało się stać z resztą załogi, która przetrwała abordaż na Małą Elizę, niewiele ją już obchodziło. Musiała w tej chwili jak najlepiej zadbać o siebie i swoją przyszłość. Uruchomił się w niej instynkt przetrwania za wszelką cenę. Nie знаła tej strony swej duszy, ale w tym momencie została rzucona przez los na wzburzone morze galaktyki i nie zamierzała poddać się bez walki. Zaczynała nowy

rozdział w życiu – osoby wyjętej spod prawa, prawdziwej piratki, postrachu czeluści kosmosu i wszystkich bander cywilizowanej galaktyki. Tak zostało jej to przedstawione przez kwatermistrzynię. Mimo że od wielu lat była odpowiedzialna tylko za siebie, nigdy do tej pory nie żyła jako osoba, która była na bakier z normami społecznymi. Jednak dla niej najważniejsze było, że żyje. A przede wszystkim miała zapewniony wikt i opierunek.

Od razu po decyzji o przyjęciu jej w poczet nowej załogi została zaprowadzona przez dwie groźnie wyglądające kobiety pod broń do magazynu na okręt, który miał jej służyć teraz za dom. Do wykonania miała proste zadanie. Jak zakomunikowała to konwojentka: „Nawet ty tego nie jesteś w stanie spieszyć”. Mianowicie miała układać zrabowany towar tak, by zmieściło się go jak najwięcej w sporej wielkości pomieszczeniu. Starła się z całych sił. Chyba zrobiła to wystarczająco dobrze, bo jako jedna z nielicznych nie została zrugana, ani nawet upomniana przez strażniczki, prócz jednej grubej i śmierzdzącej baby, ale ona chyba miała taką naturę. Potrafiła zwrócić uwagę pewnej dziewczynie z powodu odstawienia jednego z kartonów zbyt wolno. Według strażniczki ta była w stanie zrobić to dużo szybciej i twierdziła, że nowa załogantka się ociąga. Gdy dziewczyna zaprotestowała, gruba ją spoliczkowała. Bóg jeden wie, co by ten babsztyl zrobił z mniejszą i szczuplejszą dziewczyną.

Była już mechanik z Małej Elizy zauważyła kolejną ciekawą rzecz. Otóż do tej pory poznana przez nią załoga Williama II składała się głównie z kobiet. Mężczyzn można policzyć na palcach jednej dłoni. Mianowicie tylko przyporządkowany jej przez panią kapitan opiekun był odmiennej płci. W jej dotychczasowej karierze było to niespotykane, a służyła już na niejednym statku i pod różną banderą. Postanowiła więc jak najdłużej nie zwracać na siebie uwagi. Najlepiej niczyjej, zwłaszcza istot, które na pierwszy rzut oka nie wzbudzały jej zaufania. Więc przy każdej nawet

najmniejszej sprzeczce od razu ustępowała pola. Domyślała się, że w tej chwili nowe członkinie załogi będą walczyć o pozycję. A także może o wpływy u nowej kapitan. Jednak dziewczyny to kompletnie nie interesowało.

Po zakończeniu prac w magazynie, który został załadowany po sam sufit i brzegi zradowanym towarem, nowy towarzysz zaprowadził ją do kajut dla załogi. W tym dość dużym pomieszczeniu były ustawione w rzędach wielopiętrowe metalowe łóżka, na każdym z nich leżał identyczny zielony materac. Ile tych łóżek mogło być ogółem? Naliczyła ich sześć w pojedynczej kolumnie, ale by zliczyć dokładną ilość, potrzebowałaby znacznie więcej czasu. Dużo, bardzo dużo – to było pierwsze stwierdzenie przychodzące jej na myśl. Rzędów było pięć, więc nawet gdyby chciała oszacować na oko liczbę załogi, to było to grubo ponad setka. Dalej nie było sensu wyliczać, bo znając życie i tak nie będzie ze wszystkimi na „ty”.

Jeden z nielicznych młodych mężczyzn na okręcie, który był mniej więcej w jej wieku, zaprowadził ją do jadalni. Była skromna, lecz bardzo klimatyczna, już samo wejście na jej teren dawało wrażenie spokoju i harmonii. Stały w niej długie, szerokie stoły z ławami do siedzenia i bufet, w którym na razie wszystkie wnęki na jedzenie były puste. Jako że była jedną z nielicznych osób zajmujących się mechaniką na poprzednim statku, tutaj również otrzymała przydział w maszynowni. Z początku w stopniu drugiego mechanika, a co dalej, to zobaczą.

– Rzadko ktoś zostaje przy pierwszym przydziale – powiedział jej chłopak. – Z czasem możesz zostać przeniesiona na polecenie kapitan lub kwatermistrzyni. Możesz również gdzieś po drodze wyzionąć ducha, to najczęstsza przyczyna zwolnienia ze służby.

Dziewczyna wiedziała jednak, że dla niej byłoby lepiej, żeby robiła to, na czym się zna i co sprawia jej przyjemność. Jej ostatnia próba pójścia na front skończyła się ogromną migreną i wylądowaniem w nowej załodze.

Ostatnim przystankiem było jej miejsce pracy. Maszynownia na Williamie II była dużo mniejsza niż na Małej Elizie, w sumie nic w tym dziwnego, był to wielokrotnie mniejszy okręt. Tutaj miała do ogarnięcia cztery reaktory zasilające dwa główne silniki. Na poprzednim statku było ich szesnaście. Więc w tym upatrywała mniejsze natężenie roboty. Zaczęła oswajać się z tym, nad czym będzie spędzać większość czasu podróży. Nie знаła zainstalowanego tu starszego oprogramowania sterującego. Jednak to tylko kwestia czasu, a będzie znać jego możliwości lepiej niż sami twórcy. Czuła to tradycyjne mrowienie w palcach na samą myśl o wyzwaniu, jakie przed nią stało. Nawet chciała sobie narzucić konkretny termin na rozgryzienie go, ale postanowiła zająć się tym później. Już podczas pierwszego zaznajomienia stwierdziła, że sterowniki w jednym z reaktorów są przestarzałe, co prowadziło do zmniejszenia jego wydajności. Z tego powodu trzy następne musiały dostarczać brakującej energii i o wiele szybciej się zużywały. Dziewczyna podzieliła się z opiekunem tym spostrzeżeniem. Ten popatrzył na ekran, na nią, i stwierdził, że później się temu przyjrzą. Pewnie trafiła w sedno, lecz nie chciał przyznać się do czegoś, czego nie zauważył. A na pewno spędził wśród tych maszyn dużo więcej czasu niż ostatnie kilkanaście minut.

Ostatnim pomieszczeniem, które pokazał jej Carlos – bo tak miał na imię chłopak i zarazem główny mechanik – była kanciapa mechaników. A że była ich teraz dwójka, nie obędzie się bez dodatkowej szafki na ubrania. W tym niezbyt dużym pomieszczeniu znajdował się również magazyn narzędzi. Dziewczyna, widząc ich niewielką ilość, trochę się przeraziła. Nie można pracować bez odpowiedniego sprzętu. „Nawet malarz nie był w stanie pokazać w pełni swego talentu bez odpowiedniego pędzla” – tak zdarzało jej się mówić. Jednak dopiero gdy zobaczyła schowek na części zamienne, padł na nią blady strach. Praktycznie stał pusty, a nie które części już na starcie nadawały się bardziej na złom, a nie

jako zabezpieczenie przy ewentualnej awarii w trakcie lotu. Było to spowodowane polityką i nastawieniem pani kapitan. Uważała, że dopiero jak dotrą na jakąś placówkę, stacje planetarną lub planetę, będą zamawiać potrzebne elementy i dokonywać napraw na bieżąco. Było to potwornie ryzykowne i nieodpowiedzialne. Wiedząc, jakie problemy nieraz miała z silnikami Elizy, nie mogła sobie wyobrazić, jak mogłaby usunąć usterkę tutaj. Z perspektywy dziewczyny, która była przyzwyczajona do stosu wszystkiego, co mogłoby się przydać bądź też nie, na tym statku wyglądało to na kompletną fuszerkę. Jednak, trzymając się w dalszym ciągu ustalonego planu, nie skomentowała tego, co zobaczyła. Tym bardziej, że jedną uwagę już dziś wygłosiła.

William II wraz z nowymi załogantami i wypchany po brzegi łupami udał się na planetę, o której istnieniu dziewczyna nigdy dotąd nie słyszała. Było to Nassau – miejsce, które każda istota zajmująca się profesją pirata mogła traktować jako swój drugi dom lub ziemię obiecaną. Tutaj każdy, bez względu na płeć, rasę, wyznanie czy historię, mógł znaleźć bezpieczną przystań. Na podstawie opowiadań Carlosa druga mechanik starała się wyobrazić sobie to miejsce. Zielony, z tropikalnym klimatem, małą ilością opadów, bogaty w wodę i żywność glob. Planeta i mieszczące się na niej niewielkie miasto dawały schronienie wszystkim, którzy postanowią się tu osiedlić. Było to jedno z tych miejsc w galaktyce, gdzie kwitł czarnorynkowy handel wszelakim towarem. To tutaj organizacje powstańcze, a także terrorystyczne, mogły zaopatrzyć się w broń bez zbędnych pytań czy też pośredników. Można było wynająć najemników czy też skrytobójców. Z samych opowiadań głównego mechanika miało się wrażenie, że jest to raj dla wszystkich istot wyjętych spod prawa. Jednak nie była to do końca prawda. Planeta, owszem, miała pewną niezależność, lecz pieczę nad nią sprawowała Republika. To ona umieściła na niej swą ambasadę, a także przedstawiciela. By planeta mogła zatrzymać

swój status, musiała co roku płacić trybut, a za jego zebranie były odpowiedzialne właśnie załogi okrętów pirackich. Jedyną zasadą, jakiej kapitanowie mieli przestrzegać, było nieatakowanie statków spod bandery ich zwierzchników. To mocno ograniczało im pole manewrów, lecz teraz, gdy konflikt między Republiką a Federacją obrał kurs na wojnę, dla załóg stacjonujących na Nassau zaczął się sezon żniw. Owszem, istoty spod czarnej bandery starały się wypełniać umowę, którą zawarły, ale jeśli nie przeżyje nikt z załogi zaatakowanego statku, to kto udowodni, kim był agresor? Podczas tej niewątpliwie dość niebezpiecznej gry na razie nikomu nie spadł włos z głowy. Przynajmniej tak zapewnił ją główny mechanik.

Lot był spokojny, a podczas niego niewiele się działo – mało awarii, a jeśli już jakaś się pojawiła, potrafili ją szybko usunąć. Młoda kobieta czas wolny poświęcała na naukę nowej maszynowni i podzespołów. Tak jak zakładała na początku, brak odpowiedniej aktualizacji nie pozwalał na optymalne wykorzystanie silników. Uporanie się z tym zajęło mechanikom dobre kilka godzin. Musieli przejrzeć pliki odpowiedzialne za dawkowanie mocy i paliwa, a następnie pozbyć się wszystkich cyfrowych śmieci, które spowalniały główne oprogramowanie. Odpowietrzniki również wymagały przeczyszczenia. Po ukończeniu wszystkich zadań Carlos poinformował kapitan o wykonanej pracy. Dziewczyna nie słyszała ich rozmowy, lecz po minie i błysku w oczach chłopaka widziała, że chyba zaplusowali. „To dobry początek” – powtarzała sobie w myślach. Nie oczekiwała podziękowań czy pochwały. Wystarczył jej widok konsoli, na której wszystkie kontrolki świeciły jasnym, zielonym kolorem.

Komunikat z głośników przypominał im o zbliżającym się dokowaniu. Musieli odpowiednio przestawić moc silników do łatwiejszego manewrowania okrętem. Po dłuższej chwili poculi charakterystyczne drżenie, a po nim lekkie uderzenie. Świadczyło to o zakończonym pomyślnie podejściu. Teraz wystarczyło

przebrać się z brudnych ubrań, odnieść je do pralni, by w trakcie następnej podróży, w którą się wybiorą, wyglądać choć trochę schludniej, a po tym wszystkim udać się na miejsce zbiórki. Tam czekał na nich transport na powierzchnię planety.

* * *

Dziewczyna postawiła stopę na platformie do lądowania dla niedużych busów, które przewoziły załogę okrętu z orbity na lądowisko tuż przy mieście. Czuła się wręcz doskonale. Chyba odnalazła miejsce, w którym chciałyby żyć i zostać na dłużej. Nikt tu nie pytał o jej przeszłość, nie sprawdzał jej dokumentów i mogła bez przeszkód podać przybrane imię... Joanna. Nową załogę stanowiły głównie kobiety, jednak kilku mężczyzn również znalazło tutaj zatrudnienie. Między innymi Carlos, który wprowadził ją w panujące na Williamie zasady i obyczaje. W pierwszych dniach był dla niej bardzo pomocny i troskliwy. Dziewczyna początkowo czuła się nieswojo w jego towarzystwie. Peszyły ją jego duże, niebieskie oczy, patrzące się na nią spod ciemnych i długich do ramion włosów. Co wyróżniało go na tle innych członków załogi? Białe, pełne uzębienie. Nie ma co ukrywać, nie wszyscy dbali w tym samym stopniu o higienę osobistą.

Po wyładowaniu towaru z ładowni na wózki pulsacyjne wszyscy prócz kapitan, kwatermistrzyni i kobiety z przybocznej straży, której Joanna nie знаła, wrócili na miejsce wysiadki z busa. Z początku dziewczyna nie rozumiała, czemu ma to służyć. Jednak bardzo szybko i głośno się o tym dowiedziała.

– Czas zapłaty! – krzyknął skarbnik, stary, posępny człek z licznymi zmarszczkami, chodzący po okręcie boso i w podartych łachmanach.

Mężczyzna zawsze, chyba nawet podczas snu, miał pod pachą swoją księgę rachunkową. Według opowiadań Carlosa w niej

znajdowały się najważniejsze informacje – kto wziął swoją dolę, ile potrzeba zamówić jedzenia czy paliwa i inne przydatne informacje dla pani kapitan. Po zatrudnieniu na okręcie Joanna nie spotkała, jak później się okazało, słynnej Anne Bonny. Jak dotąd nigdy nie słyszała żadnej historii na temat osoby o jej imieniu i nazwisku. Jednak wcale się tym nie przejmowała. Będzie miała sporo czasu, by nadrobić potrzebną wiedzę. Wcześniej była w takim szoku i strachu, że zapomniała, kim jest jej nowa dowódczyni. Więc jakby ktoś zapytał, u kogo służy, jedynie patrzyłaby na tę osobę z otwartymi ustami, gdyż kompletnie tego nie pamiętała.

Wszyscy dookoła przechwalali się, na co wydadzą zarobione pieniądze. W końcu po paru miesiącach w kosmosie mogli wyjść do miasta. Wystarczyło tylko podpisać odpowiedni dokument o otrzymanej zapłacie i delikwent już zniknął z radaru. Pierwsze chwile na Nassau, pierwsze kroki i oddechy tutejszym powietrzem dawały poczucie, że czas tutaj zatrzymał się bardzo, bardzo dawno temu. Carlos, zaraz po wyjściu z lądowiska, złapał dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą po jednej z wąskich, szutrowych ścieżek. Zielone liście, gałęzie i inne kwiaty co rusz smagały ją po twarzy. Nad głową, w koronach drzew śpiewały ptaki, a w nos uderzył ją dziwny, lecz bardzo przyjemny zapach. Coś słyszała – szum, chyba wody. Jednak nie była przygotowana na to, co zobaczyła, gdy w końcu wyszli z tego dziwnego lasu. Piękna, szeroka, piaszczysta plaża i lazurowe morze lub ocean – tego w tej chwili nie wiedziała.

– To jest diament Nassau – rzekł chłopak.

Dziewczynie z powodu widoku odebrało mowę. Carlos nie czekał, aż ona się otrząśnie. Ściągnął buty, spodnie i koszulę, ukazując dobrze zbudowane ciało i w samych majtkach wskoczył do wody. Joanna czuła się zawstydzona, nie, żeby nigdy nie widziała nagiego mężczyzny. Jednak ten był z nich najprzystojniejszy. Zaczęła się powoli łapać na tym, że jej myśli wirują wokół niego i są nie do końca poprawne. Niepewnie podeszła blisko wody,

nie chcąc zamoczyć jedynych posiadanych ubrań. Zdjęła tylko buty i przechadzając się tuż przy brzegu, moczyła stopy. Chłopak machał do niej, krzyczał, by wskakiwała. Jednak ona nie odważyłaby się przed nim rozebrać. Gdy tak chodziła tam i z powrotem, rozpływając się w błogim klimacie, pożałowała, że spuściła Carlosa z oczu. Chłopak pobiegł do niej od tyłu, uniósł ją do góry i razem z nią wskoczył do zimnej wody. Joanna mogła się wiercić i krzyczeć, ale nie była w stanie mu się wyrwać. Z początku była nawet zła na niego. Jednak gdy poczuła na ciele miłą, chłodną i kojącą wodę, negatywne emocje ustąpiły miejsca radości i uśmiechowi na twarzy. Mimo wszystko czuła się w tej chwili szczęśliwa, jak dawno już nie była.

Po wyjściu na plażę i włożeniu ubrań – w przypadku Joanny tylko suchych butów – udali się w stronę najbliższych zabudowań.

Samo miasto było urokliwe. Niskie, kolorowe zabudowania często zdobiły kwiaty. Spośród wszystkich konstrukcji w Nassau wyróżniały się trzy najważniejsze. Pierwszym, jak zawsze w takich miejscach, był miejscowy zamiesz – dwupiętrowy, wolno stojący dom z szerokim wejściem. Nowych gości witali: do połowy rozebrana młoda szatynka o dziewczęcej twarzy i bożyszcze tutejszych kobiet – młody mężczyzna z silnymi dłońmi, szerokimi ramionami i klatką piersiową. Ciemne oczy spoglądały uwodzicielsko, a mięśnie podkreślała oliwka. Dobrze, że miał na sobie chociaż spodnie. W przeciwnym wypadku tutejszy lekarz miałby ręce pełne roboty przy mdlejących niewiastach, i nie tylko. Oboje ochoczo zapraszali do środka, a że spotkało się tu kilka załóg w tym samym momencie, tłok i poruszenie w środku było spore.

Drugim budynkiem, który się wyróżniał, była rezydencja gubernatora Nassau. Carlos wspominał jego imię, ale w tej chwili ta informacja była jej kompletnie niepotrzebna, więc szybko wyparła ją z pamięci. Budynek wykonano z białego tworzywa, a do drzwi prowadziły szerokie drewniane schody. Drzwi strzegło dwóch

mężczyzn, którzy stali na baczność, a w dłoniach trzymali krótkie karabiny blasterowe. Dziewczyna, przyglądając się budynkowi, miała wrażenie, jakby ktoś wyciął go z pocztówki, a później ustawił na tle dużych drzew z podłużnymi, zielonymi liśćmi. Było to coś, czego jeszcze w dotychczasowym swoim życiu nie miała okazji widzieć. Musiała na chwilę przystanąć, by móc nacieszyć się tym widokiem.

Trzecią wyróżniającą się zabudową miasta była kantyna – położona nieco na uboczu, przy sporych rozmiarów placu, do którego prowadziły wszystkie ścieżki miasta. Budynek był o wiele niższy niż konstrukcje wokół niego, lecz jego urok i zapach dobiegający ze środka dawały wystarczającą zachętę, by do niego wejść. To właśnie w tym miejscu znajdowało się prawdziwe serce tej planety. Po przekroczeniu progu i zostawieniu za sobą kręcących się jeszcze niedużych szklanych obrotowych drzwi dziewczyna stwierdziła, że musiała się przenieść do bardzo zamierzchłych czasów. Wszystko tutaj było wykonane z drewna. Na ścianach znajdowały się przeróżne trofea zwierząt, o których istnieniu Joanna do tej pory nie wiedziała. Jedynie oświetlenie i żyrandole sprawiały wrażenie niepasujących do wystroju. Przy drewnianych stołach, siedząc na długich ławach, załatwiano się wszystkie istotne sprawy dotyczące życia i funkcjonowania załóg okrętów pirackich. Tutaj kapitanowie najmowali się do zadań, powstawały sojusze i wypowiediano lokalne wojny. Na specjalnej tablicy ogłoszeń były wywieszane najróżniejsze zlecenia – najem na ochronę konwoju czy przewóz osób, które często w niejednym układzie były na bakier z prawem. Czasami zdarzały się również zlecenia na czyjś głowę, lecz nie cieszyły się tutaj dużym wzięciem. Miały raczej charakter informacyjny bądź szyderstw, za czyją głowę płacą mniej. Łowcy nagród raczej nie byli tutaj mile widziani, więc też bardzo rzadko pojawiali się na Nassau. Jednak jeśli się już pojawili, to raczej chcieli załapać się na jakiś okręt, niż zdobyć nagrodę.

Dziewczyna była zauroczona tym, co zobaczyła. Nie spodziewała się, że gdzieś w galaktyce istnieje takie miejsce. Miało się wrażenie, że czas, postęp technologiczny i wszystkie sprawy cywilizowanych światów tutaj jeszcze nie dotarły. Obsługa tego miejsca była z krwi i kości. Nie było widać żadnych droidów, nawet tych sprzątających. Każdy z obecnych był ubrany w swój oryginalny strój, czy to barman, kelnerzy, czy członek załogi okrętu pirackiego. Jedni bardziej schludnie i czystiej, inni wręcz przeciwnie. Barwne, kolorowe ptactwo, a także szerokie kapelusze były na porządku dziennym praktycznie u każdej przebywającej tu istoty. To sprawiało wrażenie przeniesienia się do odległych czasów starych piratów, o których kiedyś opowiadał jej ojciec.

Usiadła z nowym kolegą przy wysokim, szerokim, idealnie wypolerowanym drewnianym blacie baru. Cierpliwie oczekiwali, jak barman rasy Netsu podejdzie ich obsłużyć.

Gatunek ten miał chyba zapisane w genach, by prowadzić knajpę na planecie, na której się znajdują. Nie uchodzili za stworzenia agresywne czy też chciwe. Byli natomiast świetnymi barmanami i przedsiębiorcami. Ich długa szyja, zakończona niedużą, trójkątną głową, pozwalała czarnym oczom widzieć cały lokal. Nic nie mogło umknąć ich uwadze. Posiadali cztery ręce, więc jednocześnie obsługiwanie klienta i czyszczenie szklanek nie stanowiło dla nich problemu. Gdy w końcu barman podszedł do nich, musiał się dość mocno schylić, by usłyszeć treść zamówienia. Rasa Netsu nie posługiwała się żadnym znanym dialektem. Tak naprawdę nic nie mówili, a za słowa służyły im różne tonacje dźwięków. Dla Joanny brzmiało to jak delikatny śpiew, miły dla ucha. Chciałoby się tego słuchać dłużej. Jednak Carlos zamówił dwa piwa i śpiew barmana nagle ucichł, o co była na niego zła. To uczucie minęło, gdy w jej rękę znalazł się kufel najprawdziwszego piwa. Chłodny smak z lekką goryczką był błogosławieństwem dla jej kubków smakowych. Dziewczyna nieraz piła złoty napój, lecz nigdy aż tak

dobry. Z początku Joanna i Carlos nie rozmawiali, jednak już przy drugim kuflu języki im się rozwiązały.

Carlos opowiadał, jak wędrował z rodzicami po różnych planetach. Nie pamiętał, jak w końcu trafili na planetę Verdus, która leży w strefie wpływów Federacji. Jak większość planet tej organizacji całą jej powierzchnię pokrywały zakłady produkcyjne i wydobywcze. Co za tym idzie, było tam wszystko, co można wytworzyć, wyhodować i sprzedać – żywność, broń, rzeczy codziennego użytku, towary luksusowe jak limuzyny dla bogaczy czy orbitalne jachty. Znajdowały się tam również stocznie, które budowały flotę handlową, a także tworzącą się marynarkę wojenną. Rodzice chłopaka przybyli tam, jak większość mieszkańców Verdus, za pracą, która da im godne życie, a że pochodzili z biednej planety, wykształcenie mieli słabe. Łapali się każdej roboty, przeważnie fizycznej, co pozwalało im nie tylko wynajmować małe, schludne mieszkanko, lecz także posłać syna do szkoły. Dzięki nim Carlos otrzymał wykształcenie mechaniczne i marzył nawet o studiach. Jednak epidemia dziwnego wirusa pozbawiła planetę około 40% populacji, w tym także jego rodziców, dla których wydatek na opiekę medyczną był nieosiągalny.

Rynek pracowniczy mocno podupadł i wiele istot trafiło na ulice przez windowane w górę ceny mieszkań. Kiedy nie ma pracy, a wielu osób nie stać na jedzenie, zaczynają się zamieszki. Gdy chłopak opuszczał Verdus, była ona bardziej kontrolowana przez kartele narkotykowe i gangi. Federacja, która nie posiadała wtedy mocnej armii, starała się z nimi walczyć, ale niespecjalnie jej to wychodziło. Więc za ostatnie pieniądze Carlos przybył na Nassau w poszukiwaniu szczęścia i by rozpocząć nowe życie w nieznanym miejscu.

Z początku szło mu, prawdę mówiąc... słabo. Łapał dorywcze prace na polu kukurydzy, a także niewielkie naprawy maszyn. Nawet myślał, czy otworzyć tutaj swój mały biznes, mianowicie

warsztat mechaniczny. Pewnego dnia na tablicy pojawiło się ogłoszenie typu „potrzebny mechanik na już!”. Zgłosił się we wskazanym miejscu i nim się obejrzał, zaciągnął się na Williama II. Lubił podróże i przygody, więc pomysł z warsztatem odłożył na emeryturę bądź na tak zwane „nigdy”. Gdy na okręcie pojawiła się dziewczyna, nawet się ucieszył. W końcu mógł mieć dobrego kompana w maszynowni, a nie przez większość drogi siedzieć sam. Negatywnie wypowiadał się o wiedzy towarzyszek i towarzyszy z załogi. Wcale mu nie przeszkadzało, że jego kompanką mechanikiem jest kobieta, nawet był z tego zadowolony.

Joanna jednak nie była tak wylewna jak jej nowy kolega. Nie opowiedziała, skąd pochodzi. Na pytanie o rodziców lub rodzeństwo jedynie milcząco patrzyła w kufel. Swoją historię zaczęła opowiadać od chwili, gdy trafiła na stację planetarną o nazwie CZX-529-OB. Nie wytłumaczyła mu, jak tam się znalazła, ani skąd przybyła. Tam poznała swego przyjaciela o wielkim sercu, ale niedużym ciele. On nauczył ją mechaniki i konserwacji maszyn. Aż sama nie mogła uwierzyć, że ma do tego taką smykałkę. Na tamtej stacji zaciągnęła się na Małą Elizę. Niestety, podczas abordażu przyjaciel zginął z ręki jej nowych towarzyszek i kompanów. Ostatnie słowa mocno akcentowała, by pokazać chłopakowi swój żal za to, co zrobili piraci. Ten chyba zrozumiał jej intencję, gdyż lekko się wzdrygnął na te słowa.

– Resztę już znasz.

– Nie jesteś zbyt wylewna w swojej historii – stwierdził.

– Nie widzę potrzeby, by być. To, jak sam stwierdziłeś, historia, więc to już się zdarzyło. Staram się patrzeć tylko przed siebie, nigdy za siebie.

– Ale w historii jest potwierdzenie naszego istnienia.

Na to mu nic nie odpowiedziała, przynajmniej na razie. W kantine powstał dość spory harmider, gdy trzy postacie pojawiły się w jej progu. Jedna z nich kogoś Joannie przypominała. Po chwili wiedziała nawet kogo, gdy całe pomieszczenie wykrzyknęło:

– Niech żyje Anne Bonny!

No tak, była to jej kapitan. Teraz mogła się jej lepiej przyjrzeć, w pełni świadomie. Była istotą humanoidalną, wysoką i szczupłą. Niebieska skóra z czarnymi krostami, złote oczy i rudy irokez tworzyły bardzo barwną paletę. Jej ubiór natomiast był dość... normalny – ciemnozielona, skórzana kurtka narzucona na czarną koszulę. Spodnie, które podkreślały jej szczupłe i długie nogi, miała z tego samego materiału i w takim samym kolorze, co kurtkę. Czarne wysokie buty na niedużym obcasie sięgały prawie samych kolan. Jej talię oplatał musztardowy, skórzany, ciemny pas, na którym pod prawą ręką była zawieszona kabura z blasterem. Z przodu, za pasem miała włożone dwa kolejne mniejsze pistolety. Po lewej stronie lśniła smukła, srebrna szabla. Tuż nad pasem oplatał ją, w pierwszej chwili prawie niewidoczny, niebieski ogon.

Kapitan Anne Bonny rozejrzała się po gościach tawerny. Poznawała wiele osób ze swojej załogi, lecz nie tylko oni wiwatowali na jej cześć. Był to ogólnie przyjęty tu zwyczaj. Gdy w progu pojawia się jakiś kapitan, pozdrawia się go poprzez uniesienie posiadanego w danej chwili trunku. Można też było tylko pozdrowić słownie, lecz w tym miejscu rzadko zdarzało się, że ktoś siedzi z niczym w dłoni i o suchym pysku lub buzi. Tylko jedna osoba nie przyłączyła się do reszty. Ciemnowłosa dziewczyna, która siedziała przy barze z jej mechanikiem. Anne z dwójką towarzyszy usiadła w jednym z rogów sali i wezwała kelnera do swojego stolika. Joanna odwróciła się z powrotem do baru i upiła kolejny łyk piwa.

– Czemu nie pozdrowiłaś kapitan? – zapytał zdziwiony Carlos.

– A musiałam?

– No tak... jest tu taka tradycja.

– Skąd miałam wiedzieć?

– Było trzeba zrobić to, co ja. Mam tylko nadzieję, że Anne się nie wścieknie na taką pogardę.

– Grzecznie przeproszę...

Ktoś dość mocno postukał ją w obojczyk. Zrobił to na tyle boleśnie, że dziewczyna lekko syknęła i się skuliła. Gdy odwróciła się, by zobaczyć, kto jej przeszkadza, przeraziła się. Przed nią, z niezadowoloną, krzywą miną, trzymając pełen kufel trunku, stała Anne Bonny. Chwila konsternacji, Joanna poczuła, że jej serce bije coraz szybciej, chyba ze strachu. Kapitan przyjrzała się jej cierpkim, przenikliwym wzrokiem i zwróciła się do jej towarzysza:

– Z kim to mój mechanik przesiaduje?

– To jest Joanna, pani kapitan. Zwerbowała się ostatnio na twój statek.

– Ach, tak... coś tam pamiętam.

– Bardzo mi miło, pani... – Dziewczyna nie dokończyła. Kobieta stojąca obok Anne skoczyła do niej jak poparzona. Złapała Joannę dłonią za kark i przysunęła do jej szyi rzeźnicki nóż.

– Ktoś cię prosił o odpowiedź, wywłoko? – syknęła przez zęby, które jej zostały. Druga mechanik nie zareagowała, patrzyła jej jedynie głęboko w oczy.

– Uspokój się, Vera. Nie musisz wszystkich od razu skrać o głowę, jak nie umie się zachować. Proponuję ci nauczyć towarzyszkę zwyczajów tu panujących. Bo inaczej może napytać sobie biedy.

– Tak jest, pani kapitan, będziemy nad tym pracować.

Kobieta kiwnęła jedynie głową, poklepała swoją kwatermistrzynię w ramię, a ta odpuściła niedoszłej ofierze. Spokojnym krokiem udały się do wyjścia, a Joanna i Carlos odwrócili się z powrotem do baru. Joanna nie powiedziała nic, wzięła się za trunek i duszkiem opróżniła kufel. Chwilę odczekała i zamówiła następną kolejkę. Chłopak patrzył na nią trochę z przymrużeniem oka, sam zamawiając sobie dolewkę.

– Co? Zestresowałaś się?

– Nie skądże – stwierdziła dziwnym głosem. – Jedynie się zesrałam.

Carlos wybuchł gromkim śmiechem. Z początku dziewczynie było głupio, lecz po chwili dołączyła do niego. Siedzieli w tawernie dobrych kilka godzin, pijąc i rozmawiając na temat zwyczajów panujących na planecie piratów. Z czasem zaczęli kupować całe butelki tutejszego wina.

– W tym tempie przepijemy całą wypłatę pierwszego wieczoru – zauważył mechanik.

I rzeczywiście, większość swojej wypłaty zostawili w kantynie. Joanna w pewnym momencie stwierdziła, że jest głodna. Było jednak już dość późno. Jedyna knajpa, w której mogli coś zjeść o tej porze, a zarazem nie obciążyć zbytnio portfela, znajdowała się tuż przy plaży. Wstali więc i mocno chwiejnym krokiem, podtrzymując się wzajemnie, udali się w drogę. W normalnym tempie zajęłaby im kilka minut, ale ze względu na stan upojenia szli dobre pół godziny. Na miejscu okazało się, że to zwykła, szara budka z owocami morza. Joanna nie знаła się kompletnie na tym rodzaju jedzenia, dlatego zdała się na propozycję Carlosa. Miły sklepikarz rasy Netsu zapakował zamówienie do plastikowego pojemnika i podał pakunek dziewczynie. Joanna miała nieodparte wrażenie, że się do niej uśmiecha. Młoda pani mechanik odwdzięczyła się tym samym i życzyła mu miłego wieczoru.

Wraz z kompanem postanowili pójść wzdłuż morza, mając nadzieję, że natkną się na odpowiednie miejsce do posilenia. Znaleźli z Carlosem sporych rozmiarów kamień wystający z piaszczystej plaży. Co jakiś czas rozbijały się o niego fale. Uznali, że będzie to właściwe miejsce na ucztę. Okazało się, że Joanna dostała coś w rodzaju małży i sałatkę z wodorostów. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to apetycznie. Jednak po pierwszym spróbowaniu roślin i posmakowaniu zawartości muszli dziewczyna stwierdziła, że nigdy nie jadła tak dziwnej, lecz również tak dobrej rzeczy. Jedzenie z ich pojemników zniknęło w ciągu paru chwil. Następnie położyli się, tak jak siedzieli i zaczęli wpatrywać się w piękne gwiazdzone niebo.

W pewnym momencie chłopak złapał ją delikatnie za dłoń. Dziewczyna w początkowym odruchu chciała ją zabrać. Jednak szybko zrezygnowała z tego pomysłu i nie opierała się przy następnej jego próbie. Chwilę później przesunął się bliżej niej i podniósł na łokciu. Joanna widziała kontur jego zbliżającej się twarzy, już zaczęła nawet czuć jego oddech. Carlos ewidentnie chciał ją pocałować ale nie, że ona tego nie chciała. Choć nie znała go długo, przy takiej ilości „procentów”, niektóre decyzje podejmuje się z pewną łatwością, a sama odwaga na pewno wzrasta. Jednak alkohol znajdujący się w jej żołądku miał kompletnie inne plany na resztę tego wieczoru. Gdy tylko przymknęła oczy, poczuła, że świat wokół niej zaczął wirować. To, co niedawno zjadła, bardzo zapragnęło wyrwać się tą samą drogą, którą znalazło się w jej brzuchu. Nie była w stanie tego powstrzymać, obronić się przed tym, co zaraz miało nastąpić. Odepchnęła go od siebie i wychyliła poza kamień, by zwymiotować. Głupio wyszło, jutro pewnie będzie jej wstyd. Teraz jednak walczyła z żołądkiem i z samą sobą, by nie zwalić się w miejsce, gdzie wychylała głowę. Po dłuższej chwili, gdy już chyba oddała całą zawartość żołądku, padła ciężko na kamień. Nie minęło kilka minut, kiedy, czując, że w dalszym ciągu jest jej niedobrze od kręcącego się świata pod jej ciałem, zasnęła, licząc na to, że naza-jutrz będzie umiała poradzić sobie ze wstydem. Pierwsze picie z prawdziwym piratem zakończyło się dla niej spektakularną klęską i nauką na przyszłość.

* * *

W tym samym czasie w tawernie...

- Niech żyje Anne Bonny! – krzyknął ktoś z tłumu.
- Niech żyje! – odpowiedzieli wszyscy zgodnym chórem.

Kapitan, która w międzyczasie zdążyła wrócić, przytaknęła twierdząco głową i udała się do baru. Zamówiła ulubione piwo i gdy już miała się udać do stolika, pewien mężczyzna zostawił jej drogę.

– Pani... – skłonił się niezdarnie – mój kapitan zaprasza do stolika.

Wiedziała, od kogo jest to zaproszenie. Mimo wszystko nie odmówiła i poszła za wysłannikiem. Nie chciała wyjść na niemłą, ale nie potrafiła ukryć niezadowolenia. Wychodząc tym razem samotnie do miasta, miała nadzieję na chwilę ciszy. Chciała odsapnąć od podejmowanych ostatnio decyzji, zebrać myśli i zastanowić się, jakie może być ich następne zlecenie. To zaproszenie z miejsca wysadzało jej plan w powietrze, a tego bardzo nie lubiła. W kancynie w każdym jej z rogów znajdowały się różnej wielkości boksy. Były odgródzone od siebie wygłuszonymi ściankami, co pozwalało na chwilę prywatności i dawało możliwość rozmowy na tematy, które nie powinny trafić do niepowołanych uszu. Wysoki, szczupły, łysy mężczyzna zaprowadził ją do jednego z takich boksów. Stała przed bardzo okazałą i bogato zdobioną kotarą, która robiła w tym przypadku za osłonę wejściową. Wysłannik zaproszenia ukłonił się delikatnie i rzekł:

– Szef czeka w środku.

Gdy Anne odciągnęła ręką miły w dotyku materiał, jej oczom ukazała się luksusowa łóża. Choć nie było to w jej stylu, niewątpliwie lepsze to niż zwykłe ławy dla podrzędnych piratów. W takich miejscach można było spotkać najczęściej kapitanów innych okrętów, bogatych mieszkańców lub tych, którzy szukali załóg do wynajęcia. Tylko takie osoby były skłonne wydać trochę grosza, by poczuć się choć odrobinę bardziej komfortowo.

Na czarnej, skórzanej kanapie siedział, a jakże... Calico Jack – jeden z najsłynniejszych pirackich kapitanów i jeden z najbardziej przebiegłych. Na pierwszy rzut oka jednak wcale na takiego nie

wyglądał. Anne zajęło lata przebywania z tym osobnikiem, by poznać jego prawdziwą naturę. Jack dowodził bardzo okazałym okrętem William I, który uważał za swój największy atut. Na drugiej kanapie naprzeciwko Jacka siedział dziwny człek, którego Bonny nigdy do tej pory tutaj nie widziała. Miał długie, szare szaty, turban z szalem owinięty wokół karku i okropnie opryszczone twarz, jakby ktoś wystawił go na działanie jakiegoś promieniowania lub jakieś owady ostro go pogryzły. Inicjator tego spotkania, jak to miał w zwyczaju, odsunął się trochę i klepiąc w siedzisko, zaprosił Anne obok siebie. Kapitan Williama II dotąd niezbyt chętnie podchodziła do jego towarzystwa, a teraz to uczucie się spotęgowało. Jednak mogło się okazać, że na tej znajomości można zarobić, co było zarówno dla niej, jak i dla załogi jednym z największych priorytetów. Bo kapitan nie tylko musiał umieć zadbać o swą reputację, ale również o to, by jego załoga była zadowolona z otrzymywanych wypłat. Dzięki temu w niewielkim stopniu mógł zapobiec ewentualnym buntom i niezadowoleniu na swym okręcie.

– A o to moja serdeczna przyjaciółka, Anne Bonny. – Chociaż panował półmrok, kobieta знаła nonszalancję wypowiedzianych słów. Mimo że Jack był reptilianinem, postać, w którą się wcielił, wymusiła na nim takie zachowanie.

– Słucham, czemu zostałam tu zaproszona? – odpowiedziała beznamiętnie na zaczepkę z jego strony.

– Pan... – wskazał na dziwnego jegomościa palcem, zakończonym ostrym szponem – ma dla ciebie ciekawe zlecenie.

– Jeśli jest tak ciekawe, czemu ty go nie weźmiesz?

– No wiesz, moja droga, chciałbym, ale niestety już przyjąłem inną robotę – odparł w klasyczny, trochę drwiący sposób.

– Co to za zlecenie? – zwróciła się do człowieka w turbanie.

– No więc tak... – Człowiek potarł dłonie, jakby było mu zimno. – Za jakiś czas, w pewnym sektorze, pojawi się specjalny okręt dyplomatyczny Republiki.

– Okręt dyplomatyczny? Co to ma być, do cholery?! Jaki mogę mieć z tego łup?! Dekrety i ustawy czy może gacie senatora?! Po za tym Jack! Znasz przecież zasady! – oburzyła się Anne.

– Dostaniesz milion waluty Federacji, czyli flary. – Kapitan usiadła, ta cena ją zaintrygowała. – Są osoby w galaktyce, którym nie zależy na dobrych stosunkach Republiki z Federacją. Są również skłonni dobrze zapłacić, by ten okręt nigdy nie dotarł do wyznaczonego celu.

– Co dokładnie ma się z nim stać?

– Cokolwiek, możesz zrobić z nim, co chcesz, ma on tylko zniknąć.

– Kto będzie na pokładzie?

– Pewien senator.

– Jaka obstawa?

– Na pokładzie... nie mam pojęcia. Konwój będzie dość konkretny, prócz okrętu senatora, dwie korwety i jedna fregata.

– Mocna, nie ma szans, by zrobić to w pojedynkę – zauważyła.

– Zawsze możesz sobie dobrać pomocników. Moich kontrahentów nie będzie obchodziło, ile załóg się tym zajmie. Ma być wykonane.

– Ile mam czasu do namysłu?

– Niewiele, chciałbym nie czekać z tym do jutra. Wiesz, czas nie działa na naszą korzyść.

– Daj mi trzy godziny.

– Dobrze, tyle mogę ci dać. Będę tu czekać na ciebie, jednak jeśli nie pojawiaasz się za ten czas, znajdę innego kapitana.

* * *

Przebudziły ją fale morza rozbijające się o brzeg. Miała sucho w gardle, znacznie bardziej doskwierał jej mimo wszystko ogromny, zniewalający i odbierający chęć życia ból głowy. Powoli otworzyła

oczy, które również ją piekły od natężenia światła. Rozejrzała się wokół i zauważyła stojącą nieopodal butelkę wody, którą od razu pochwyciła. Jej usta łapczywie przylgnęły do szklanego naczynia, a przezroczysta ciecz wlała się do spragnionych ust i gardła, dając ogromną ulgę. Zdziwiła się po chwili, gdy spostrzegła, że znajduje się w dziwnym, prowizorycznym namiocie rozłożonym na skraju plaży, pod palmami oddalonymi o kilka metrów od morza. Ostatnie, co pamiętała z poprzedniego dnia, to jak leżała z Carlosem na kamieniu. Teraz w zasięgu jej wzroku nie było ani kamienia, ani chłopaka. Próbowала wstać, ale przy każdej próbie mdłości i zawroty głowy momentalnie powracali.

– O popatrz! – usłyszała znajomy głos. – Królowna się obudziła!

– Czy musisz się tak drzeć?

– A co, kac męczy? – Carlos usiadł obok niej z szerokim uśmiechem.

– I to ogromny.

– Masz tu jadło. – Podał jej miskę owoców morza, pewnie z tej samej budki co wczoraj. – Musisz się pospieszyć.

– A to czemu? – odpowiedziała, powoli jedząc i powstrzymując odruchy wymiotne.

– Wszyscy zostali pilnie wezwani na Williama II.

Więcej nie musiał mówić. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że bez przyczyny kapitan nigdy nie ściągnęłaby załogi z przepustki. Zjadła tyle, ile mogła, resztę starannie zapakowała sobie do pojemnika, który został jej z wczoraj. Miała nadzieję, że będzie mogła za jakiś czas spokojnie zjeść te przysmaki.

Gdy wchodziła na pokład małego busa, który miał ich przetransportować na platformę dokową okrętu, liczyła, że już niedługo, za parę dni wróci na Nassau. Będzie mogła po raz kolejny wypić piwo w kantine, zjeść owoce morza z budki na plaży. Jednak najważniejsze dla niej było, by znów usłyszeć śpiew

barmana i sklepikarza. To głównie zapamiętała z pierwszej wizyty na tej planecie. Na zebraniu zwołanym przez kapitan plany Joanny zostały doszczętnie zrujnowane. A przecucie, jakie wtedy miała, uświadamiało ją, że szybko nie postawi ponownie stopy na tym pięknym globie. Z informacji udzielonych przez dowódczynię dowiedzieli się o potrzebie przechwycenia pewnego okrętu Republiki. Tym razem płacono im za zlikwidowanie celu, więc przy abordażu mieli nie brać jeńców. Co innego było z kapitanem i wysokimi oficerami. Jeśli dadzą radę i wszystko będzie szło po ich myśli, mieli pochwycić te osoby żywymi, a resztę konwoju zniszczyć lub uszkodzić, to bez znaczenia. Joannę zastanawiało jedynie to, że planem nadrzędnym miało być pochwycenie senatora Republiki. Wiedziała doskonale, jakie panują stosunki dyplomatyczne między dwoma największymi siłami w galaktyce. Na pewno to, co mają zamiar zrobić, ich nie polepszy. Znając życie, za ich akcję Republika i Federacja będą obwiniać się wzajemnie, co doprowadzi do eskalacji konfliktu między nimi. Jednak nie mogła powiedzieć tego na głos, była teraz z zupełnie innej strony barykady. Poza tym niektóre myśli lepiej zostawić tylko dla siebie, inaczej ktoś niepowołany może je wykorzystać przeciw niej. Bardzo zaciekała ją informacja, że prócz ich załogi w całą akcję będą jeszcze zaangażowane trzy inne okręty: Latająca Łania kapitan Read, Kronan kapitana Benito i Neptun kapitana Vane. Żadnego z nich nie знаła, nawet na oczy nie widziała. Ze słyszenia tyle co nic i zapewne zostanie tak nawet po zakończeniu eskapady. Wniosek nasuwał się jeden... musieli polować na grubą zwierzynę, jeśli są zaangażowane takie siły. A jeśli faktycznie tak jest, poziom trudności wykonania misji drastycznie wzrastał. Kolejnym ciosem dla niej była wiadomość, że odlatują od razu i nie będzie mogła wrócić na dół choćby na chwilę, by kupić sobie jedzenie w budce na plaży. Start miał nastąpić za maksymalnie dwadzieścia minut, więc cała załoga musiała się sprężyć, by przygotować okręt. Nie

zwlekano i gdy nie było żadnych pytań, kwatermistrzynie wraz ze strażą zaczęły zaganiać wszystkich do pracy. Carlos odnalazł dziewczynę wśród tłumu. Sama nie wiedziała, jak był stanie to zrobić tak szybko. Pociągnął ją za rękę, mówiąc:

– Chodź, bo zatrudnię cię do bardziej fizycznej roboty.

Nie miała i nawet nie chciała szukać innego wyjścia. Na pewno praca w maszynowni była dla niej dużo ciekawsza niż dźwiganie po raz kolejny skrzyń z towarem. Podążając za chłopakiem, zastanawiała się, kto miał większą wiedzę na temat silników i maszyn na okręcie. Liczyła na mile spędzoną podróż i – miała nadzieję – bezpieczną. A przede wszystkim, że nie będzie zbyt zaangażowana w bezpośrednią walkę.

Jednak jej towarzysz szybko tę nadzieję rozwiął. Zasada była jedna – wszyscy atakują i wszyscy bronią, więc przy abordażu będzie zmuszona stanąć ramię w ramię z nowymi kompanami. Joanna pobladła. Nie miała pojęcia, jak posługiwać się bronią białą, a co dopiero prawdziwym blasterem. Ostatnim razem, gdy ruszyła frontem na przeciwników, dobitnie to pokazała. Na jej szczęście pierwszy mechanik zaproponował pomoc, po raz kolejny i pewnie nie ostatni. Wszystko poszło z płatką. W okamgnieniu rozgrzali silniki i przygotowali je do startu. Sprawdzili wszystkie podzespoły, a także zrobili kalkulacje paliwa i tlenu. Byli gotowi, o czym Carlos zakomunikował kapitan przez telefon. Następnie na konsoli kontrolnej pojawił się duży napis rozkazu „start 100%”. Chłopak od razu wprowadził dane do systemu. Zatwierdził wszystko jednym przyciskiem, a na panelu pojawiła się informacja o pracy silników na pełnej mocy. Metalowa konstrukcja zaczęła delikatnie drżeć, okręt leniwie budził się do życia. Nagle poczuł mocne szarpnięcie, które zaskoczyło ich swoją siłą. Oznaczało to zwinięcie kotwic i poderwanie okrętu z platformy dokującej.

Po chwili miało się wrażenie, jakby maszyna wręcz radowała się na myśl o nowej przygodzie. Silniki zaczęły grać swą ulubioną

muzykę przy akompaniamencie dźwięków podzespołów, tworząc jeden, zgrany, współpracujący chór.

Założa Williama II czekała, aż łowy się zaczną.

* * *

Podróż okazała się długa, mozolna i monotonna. Tak naprawdę nie działo się nic, co mogłoby rozwiązać tę nudę. Czas dziewczynie mijał na rutynowym codziennym obchodzie, konserwacji maszyn, dolewaniu płynów eksploatacyjnych i wymianie filtrów. Prócz tego uczyła się, jak władać mieczem, a prawdziwy blaster został zastąpiony repliką treningową. Miał tę samą wagę co oryginał, a także wielkość. Nie posiadał jednak ogniwa elektrycznego i strzelał zwykłym laserem, takim dla dzieci lub do zabawy z kotem. Zgodnie z obietnicą, nauki młodej pani mechanik podjął się Carlos. Nie był szczególnie wymagającym nauczycielem. Nawet Joanna miała czasem wrażenie, że specjalnie dawał jej fory. Gdy chłopak szedł na przerwę, ona brała miecz treningowy i walczyła z własnym cieniem. Ciągłe coś poprawiała, co rusz rugając się za jakiś błąd. Nawet tłumaczenia Carlosa działały jej niejednokrotnie na nerwy. Kończyło się to nieraz krzykiem z jej strony. Chciała być perfekcyjna w tym, co robi, a miała poczucie, że z nim nie przeskoczy pewnego poziomu. Rozmyślała nad tym, patrząc się na łóżko śpiącej nad nią załogantki.

W końcu nadszedł dzień – o ile takowe następują w przestrzeni kosmicznej – gdy Carlos przyznał, że nie jest w stanie nauczyć dziewczyny niczego więcej. Miała smykałkę do poznawania nowych rzeczy i szybko nabierała wprawy we wszystkim, za co się brała. Mechanik polecił jej jednak, by zgłosiła się do jednej z byłych zawodowych żołnerek, która należała do załogi. Opisał ją jako postawną, czarnoskórą kobietę o imieniu Nila. Nie wyróżniała się niczym wśród tłumu. Zwyczajne ubranie i zachowanie... jak

na pirata. Jedynym znakiem szczególnym był kawałek odciętego nosa – mały „defekt”, niewidoczny z dalszej odległości. Joanna miała nadzieję, że kobieta będzie do niej mile nastawiona i jej pomoże.

Poszukiwania rozpoczęła od strzelnicy – sporej wielkości hali, gdzie znajdowały się stanowiska do treningu obsługi wszelkiej broni palnej. Na niedużej konsoli wybierało się poziom trudności i komputer wyświetlał hologramy przeciwników. Po ukończeniu programu wynik wyświetlał się na specjalnej planszy. Dziewczyna miała szczęście, gdyż właśnie tam spotkała poszukiwaną kobietę.

Owszem, udało jej się przekonać byłą żołnierkę, a rozmowa była krótka i konkretna. Oczywiście wszystko było kwestią ceny. Na poczet szkolenia Joanna musiała Nili oddawać jedną trzecią swojej wypłaty przez pięć najbliższych powrotów na Nassau. No chyba, że któraś z kobiet zginie. Wtedy umowa przestaje obowiązywać. Treningi z początku były dla dziewczyny ciężkie, nawet bardzo. Nauczycielka okazała się wyjątkowo wymagająca, skrupulatna i ostra. Niejeden siniak pojawił się na ciele Joanny, nabawiła się też rany ciętej.

– Czym więcej krwi i potu tutaj wylejesz, tym większe prawdopodobieństwo, że przeżyjesz – stwierdziła Nila.

Joanna nie sprzeczała się z nią, ponieważ wiedziała, że doświadczona piratka ma rację. Podczas tych kilku, może kilkunastu dni – sama nawet nie wiedziała, ile czasu jej minęło – otrzymała niezbędną wiedzę. Teraz musiała ciągle doskonalić to, czego się dowiedziała, i z każdym następnym treningiem starać się dojść do perfekcji. Nie mogła jednak w pełni oddać się nowej pasji. W dalszym ciągu miała przydział w maszynowni i to było jej priorytetem. Miała szczęście, że mogła współpracować z taką osobą jak Carlos. Chłopak starał się, by mogła trochę mniej czasu poświęcać na codzienne, rutynowe zadania. Dziewczyna rzekłaby nawet, że główny mechanik coś do niej czuł, może nawet się zadurzył, tak był dla niej miły. Stwierdziła jednak, że to on musi się trochę postarać

i zrobić ten pierwszy krok. Dawała mu sygnały. Lecz chłopak – jak to chłopak – póki o coś się nie potknie, to tego nie zauważy. Mijały kolejne dni, a oni coraz bardziej się do siebie zbliżali. Jo, bo tak zaczął ją nazywać, imponowało jego opanowanie i brak pośpiechu, nawet w najtrudniejszej sytuacji. Miała wrażenie, że nawet jakby paliło się i waliło, to on i tak będzie w pełni spokojny. Wszystko się zmieniło, gdy zawyła syrena awaryjna. Znaleźli tych, których szukali od dłuższego czasu.